



JENNY HAN

Tego lata  
stałam  
się  
piękna

SERIA AUTORKI BESTSELLERA  
*Do wszystkich chłopców, których kochałam*

Young

JENNY HAN

Tego lata  
stałam  
się  
piękna

PRZEŁOŻYŁA  
Matylda Biernacka



TYTUŁ ORYGINAŁU:  
*The Summer I Turned Pretty*

Redaktorka prowadząca: Ewa Pustelnik  
Wydawczyni: Agata Garbowska-Karolczuk  
Redakcja: Ida Świerkocka  
Korekta: Beata Wójcik  
Projekt okładki, ilustracje: © Lucy Ruth Cummins  
Opracowanie graficzne okładki: Marta Lisowska  
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 2009 by Jenny Han  
by arrangement with Folio Literary Management, LCC  
and GRAAL Literary Agency

Copyright © 2022 for the Polish edition by Young  
an imprint of Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Matylda Biernacka, 2022

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.  
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki  
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania  
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I  
Białystok 2022  
ISBN 978-83-67247-06-1

Grupa Wydawnictwo Kobiece | [www.WydawnictwoKobiece.pl](http://www.WydawnictwoKobiece.pl)





– Nie mogę uwierzyć, że tu naprawdę jesteś – mówię.

Wygląda niemal na zawstydzonego, kiedy mówi:

– Ja też nie.

A potem waha się przez chwilę.

– Nadal zamierzasz ze mną jechać?

Nie wierzę, że w ogóle o to pyta. Wszędzie bym pojechała.

– Tak – odpowiadam.

Mam wrażenie, że nie istnieje nic poza tym słowem, tą chwilą. Jesteśmy tylko my. Wszystko, co wydarzyło się minionego lata i we wszystkie poprzednie, prowadziło właśnie do tego. Do teraz.



## Rozdział pierwszy

Jechaliśmy od jakichś siedmiu tysięcy lat. A przynajmniej takie miałam wrażenie. Mój brat Steven prowadził wolniej niż nasza babcia. Siedziałam koło niego na fotelu pasażera, a nogi oparłam na desce rozdzielczej. Tymczasem mama odplynęła na tylnym siedzeniu. Nawet kiedy spała, wyglądała czujnie, jakby w każdej sekundzie mogła się obudzić i pokierować ruchem drogowym.

– Szybciej – popędziłam Stevena, szturchając go w ramię. – Wyprzedźmy tego dzieciaka na rowerze.

Steven się otrząsnął.

– Nigdy nie dotykaj kierowcy – powiedział. – I zdejmij te brudne giry z mojej deski.

Pokiwałam palcami u stóp. Jak dla mnie wyglądały całkiem czysto.

– To nie twoja deska. Samochód trafi wkrótce w moje ręce, pamiętasz?

– Jeśli kiedykolwiek dostaniesz prawko – zakpił. – Takich jak ty nie powinno się w ogóle wpuszczać za kółko.

– O, patrz. – Wskazałam za okno. – Ten koleś na wózku inwalidzkim właśnie z nami zrównał!

Steven mnie zignorował, więc zaczęłam majstrować przy radiu. Jedną z rzeczy, które lubiłam najbardziej w wyjeździe nad morze, były radiostacje. Znałam je tak dobrze, jak te w domu, a dzięki Q94 czułam w środku, że naprawdę jestem tam, na plaży.

Odnalazłam ulubioną stację, tę, która puszczała wszystko od popu przez stare przeboje po hip-hop. Tom Petty śpiewał *Free Fallin'*. Zaczęłam śpiewać razem z nim.

– „She’s a good girl, crazy ‘bout Elvis. Loves horses and her boyfriend too”.

Steven wyciągnął rękę, żeby wyłączyć, ale go odgoniłam.

– Belly, jak słyszę twój śpiew, to mam ochotę wjechać prosto do oceanu. – Udał, że skręca w prawo.

Wyteżyłam głos jeszcze bardziej, co obudziło mamę, która też się przyłączyła. Obie śpiewałyśmy fatalnie, więc Steven pokręcił głową w charakterystyczny dla siebie, zde gustowany sposób. Nie znosił, kiedy przewyższałyśmy go liczebnie. To właśnie najbardziej przeszkadzało mu w rozwodzie rodziców: bez taty u boku był jedynym facetem.

Powoli przejechaliśmy przez miasteczko i choć właśnie żartowałam na ten temat ze Stevena, tak naprawdę mi to nie przeszkadzało. Uwielbiałam tę podróż, tę

chwile. Wjazd do miasteczka, Kraby u Jimmy'ego, minigolf, sklepy ze sprzętem do surfingu. Jak powrót do domu, po bardzo długiej nieobecności. Skrywał w sobie obietnicę lata i tego, co mogło się wydarzyć.

W miarę jak zbliżaliśmy się do domu, czułam w brzuchu znajome motylki. Byliśmy prawie na miejscu.

Spuściłam szybę i objęłam wszystko wzrokiem. Powietrze smakowało dokładnie tak samo, pachniało dokładnie tak samo. Wiatr, przez który włosy robiły się lepkie, słona bryza od morza, wszystko było takie, jak powinno. Jakby czekało na mój przyjazd.

Steven szturchnął mnie łokciem.

– Myślisz o Conradzie? – zapytał złośliwie.

Raz w życiu odpowiedź brzmiała nie.

– Nie – burknęłam.

Mama wsunęła głowę między oparcia foteli.

– Belly, nadal podoba ci się Conrad? Z tego, co widziałam zeszłego roku, sądziłam, że może jest coś między tobą i Jeremiahem.

– CO TAKIEGO? Ty i Jeremiah? – Steven wyglądał, jakby go zemdliło. – Co się wydarzyło między tobą i Jeremiahem?

– Nic – odpowiedziałam obojętnie.

Czułam, jak oblewam się rumieńcem. Żałowałam, że nie jestem jeszcze opalona, co by go ukryło.

– Mamo, to, że dwoje ludzi się przyjaźni, nie oznacza, że coś się między nimi dzieje. Błagam, nigdy więcej o tym nie mów.

Mama opadła na tylne siedzenie.

– Załatwione – odparła.

W jej głosie brzmiała ostateczność, przez którą Steven nie miał szans się przebić.

Ponieważ był Stevenem i tak spróbował.

– Co wydarzyło się między tobą i Jeremiahem? Nie możesz powiedzieć czegoś takiego i pozostawić bez wyjaśnienia.

– Daj sobie siana – rzuciłam.

Wyznanie Stevenowi czegokolwiek dawałoby mu jedynie materiał do nabijania się ze mnie. Poza tym nie było o czym mówić. Tak naprawdę nigdy nie było o czym mówić.

Conrad i Jeremiah to synowie Beck. Beck to Susannah Fisher, dawniej Susannah Beck. Moja mama jako jedyna nazywała ją Beck. Znały się od dziewiątego roku życia – nazywały siebie siostrami krwi. I miały na dowód bliźny – identyczne ślady w kształcie serca na nadgarstkach.

Susannah powiedziała mi, że w dniu moich narodzin wiedziała, że jestem pisana jednemu z jej chłopców. Powiedziała, że to przeznaczenie. Moja mama, która normalnie nie bawiła się w takie rzeczy, powiedziała, że byłoby fantastycznie, o ile miałabym paru chłopaków, zanim bym się ustatkowała. W zasadzie użyła słowa „kochanków”, ale robiło mi się od niego niedobrze. Susannah położyła mi dłonie na policzkach i powiedziała: „Belly, masz moje całkowite błogosławieństwo. Nie chciałabym, żeby ktokolwiek inny odebrał mi moich chłopców”.



Do mieszczącego się na plaży domu Susannah w Cousins Beach jeździliśmy co roku, odkąd byłam małą, a nawet zanim się urodziłam. Dla mnie Cousins było nie tyle miasteczkiem, ile domem. Ten dom był moim światem. Mieliśmy własny pas plaży dla siebie. Letni dom krył w sobie wiele elementów. Okalającą go werandę, po której w kółko biegaliśmy, dzbany mrożonej herbaty, basen wieczorową porą – ale przede wszystkim chłopców.

Zawsze się zastanawiałam, jak ci chłopcy wyglądają w grudniu. Usiłowałam ich sobie wyobrazić w bordowych szalikach i golfach, z zaróżowionymi policzkami, stojących pod choinką, ale obraz ten zawsze wydawał mi się fałszywy. Nie znałam zimowego Jeremiaha ani zimowego Conrada i zazdrościłam każdemu, kto znał. Mnie przypadały w udziale klapki, spalone słońcem nosy, kąpielówki i piasek. Ale co z tymi dziewczynami z Nowej Anglii, które toczyły z nimi w lasach bitwy na śnieżki? Tymi, które przytulały się do nich, czekając, aż nagrzej się samochód, tymi, którym dawali swoje płaszcze, kiedy na zewnątrz robiło się chłodno. No, może Jeremiah. Conrad nigdy by tego nie zrobił, to nie było w jego stylu. Tak czy inaczej, nie wydawało mi się to sprawiedliwe.

Siedziałam koło grzejnika na lekcji historii i zastanawiałam się, co porabiają, czy oni też ogrzewają gdzieś stopy na grzejniku. Odliczałam dni do kolejnych wakacji. Zima prawie się dla mnie nie liczyła. Liczyło się lato. Całe moje życie odmierzały wakacje. Jakbym zaczynała życie dopiero w czerwcu, na plaży, w tym domu.

Conrad był starszy o półtora roku. Był bardzo, bardzo mroczny. Kompletnie nieosiągalny, niedostępny. Miał usta układające się w kpiarski uśmiezek, w które stale się wgapiałam. Kpiarskie usta sprawiają, że chce się je pocałować, wygładzić, zetrzeć pocałunkiem kpinę. A może nie... ale przynajmniej jakoś je kontrolować. Wziąć je na własność. Właśnie to chciałam zrobić z Conradem. Wziąć go sobie na własność.

Jeremiah natomiast – ten był moim przyjacielem. Traktował mnie miło. Należał do tego rodzaju chłopców, którzy nadal przytulają mamę, nadal chcą trzymać ją za rękę, nawet gdy są już na to, technicznie rzecz biorąc, za starzy. Niczego się nie wstydził. Jeremiah Fisher był zbyt zajęty zabawą, by się czegoś wstydzić.

Założę się, że w szkole cieszył się większą popularnością od Conrada. Założę się, że bardziej podobał się dziewczynom. Założę się, że gdyby nie piłka nożna, Conrad nie byłby grubą rybą. Byłby cichym, humorzystycznym Conradem, a nie bogiem futbolu. To mi się podobało. Podobało mi się, że Conrad wołał grać w samotności na gitarze. Jakby był ponad licealne głupoty. Wyobrażałam sobie, że gdyby chodził do mojej szkoły, nie grałby w nogę, tylko pisał do szkolnej gazetki i zauważyłby ktoś takiego jak ja.



Kiedy wreszcie zatrzymaliśmy się pod domem, na werandzie siedzieli Jeremiah i Conrad. Nachyliłam się do

Stevena i dwukrotnie zatrąbiłam, co w naszym wakacyjnym języku oznaczało: „Chodźcie pomóc z walizkami, natychmiast”.

Conrad miał teraz osiemnaście lat. Niedawno obchodził urodziny. Był wyższy niż w zeszłe wakacje, o ile to w ogóle możliwe. Włosy miał ciemne jak smoła i obcięte krótko nad uszami. W odróżnieniu od Jeremiaha, któremu włosy urosły, więc był trochę rozczochrany, ale w dobrym tego słowa znaczeniu – jak tenisista z lat siedemdziesiątych. Kiedy był mały, miał złote, latem niemal platynowe, loczki. Nie znosił ich. Przez jakiś czas Conradowi udawało się wmawiać mu, że włosy kręcą się od skórki z chleba, więc Jeremiah przestać jeść skórki z kanapek, a Conrad je wtrząchał. W miarę dorastania jednak jego włosy kręciły się coraz mniej, a bardziej fałowały. Brakowało mi tych jego loczków. Susannah nazywała go swoim aniołkiem, bo z różowymi policzkami i żółtymi kędziorkami był do niego podobny. Różowe policzki miał nadal.

Jeremiah złożył z dłoni tubę i krzyknął:

– Steve-o!

Siedziałam w samochodzie i obserwowałam, jak Steve podchodzi do nich powoli i ściska się z nimi, tak jak robią to chłopaki. W powietrzu czuło się sól i wilgoć, jakby w każdej chwili mogło lunąć morską wodą. Udałam, że sznuruję trampki, ale tak naprawdę chciałam się chwile, w spokoju, przyrzeć im i domowi. Dom był duży, szaro-biały i taki jak większość stojących przy drodze domów,

tylko lepszy. Wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać letni dom na plaży – jak właściwe miejsce.

Mama również wysiadła z samochodu.

– Cześć, chłopaki. Gdzie wasza mama? – zawołała.

– Cześć, Laurel. Ucięła sobie drzemkę – odpowiedział Jeremiaś.

Zazwyczaj wybiegała z domu w chwili, gdy samochód zajeżdżał.

Mama podeszła do nich w jakichś trzech krokach i przytuliła obu mocno. Objęcia mojej mamy były równie mocne i solidne jak uścisk jej dłoni. Zniknęła we wnętrzu domu z okularami zsuniętymi na czubek głowy.

Wysiadłam z samochodu i zarzuciłam plecak na ramię. Z początku nawet nie zauważyli, że idę. Potem jednak zauważyli. I to jak. Conrad zlustrował mnie szybko, jak to robią chłopaki w galerii handlowej. Do tej pory nigdy w życiu nie spojrzął na mnie w ten sposób. Ani razu. Czułam, jak powraca rumieniec z auta. Jeremiaś z kolei zamrugał oczami. Wyglądał tak, jakby mnie nie rozpoznawał. Wszystko to wydarzyło się w ciągu paru sekund, ale można było odnieść wrażenie, że trwało znacznie dłużej.

Conrad przytulił mnie jako pierwszy, ale tak z daleka, ostrożnie, żeby się zanadto nie zbliżyć. Dopiero co ściął włosy i skóra na jego karku była różowa i nowa jak u dziecka. Pachniał oceanem. Pachniał jak Conrad.

– Bardziej podobałaś mi się w okularach – powiedział mi prosto do ucha.

Zabolało. Odepchnęłam go i rzuciłam:

– Twoja strata. Bo moje szkła nigdzie się nie wybierają.

Uśmiechnął się do mnie, a ten uśmiech – przenika do wnętrza. Jego uśmiech robi to za każdym razem.

– Chyba kilka ci przybyło – powiedział, klepiąc mnie po nosie.

Wiedział, jakie kompleksy mam na punkcie piegów, i za każdym razem się ze mną droczył.

Jeremiah uściskał mnie jako drugi i omal nie uniósł mnie z ziemi.

– Belly nam wydorosłała – zachwycił się.

Roześmiałam się.

– Odstaw mnie na ziemię – powiedziałam. – Pachniesz perspiracją.

Jeremiah roześmiał się głośno.

– Dobra, stara Belly – powiedział, ale wpatrywał się we mnie, jakby nie był pewien, kim jestem.

Przechylił głowę na bok i rzucił:

– Coś się zmieniło w twoim wyglądzie, Belly.

Czekałam na puentę.

– Co? Zaczęłam nosić szkła.

Ja też nie całkiem przywykłam do siebie bez okularów. Moja najlepsza przyjaciółka Taylor usiłowała przekonać mnie do szkieł kontaktowych od szóstej klasy, więc wreszcie jej posłuchałam.

Uśmiechnął się.

– To nie to. Po prostu wyglądasz inaczej.

Wróciłam do samochodu, a chłopcy poszli w ślad za mną. Szybko rozpakowaliśmy auto, a kiedy tylko skończyliśmy, wzięłam swoją walizkę i torbę na książki i ruszyłam prosto do swojego starego pokoju. Mój pokój był w dzieciństwie pokojem Susannah. Miał nakrapianą tapetę i biały zestaw mebli. Stała tam pozytywka, którą uwielbiałam. Kiedy się ją otwarło, w środku znajdowała się wirująca baletnica, która tańczyła do głównej melodii z *Romea i Julii*, tej starej wersji. Trzymałam w niej swoją biżuterię. Wszystko w moim pokoju było stare i zblakłe, ale właśnie to w nim uwielbiałam. Przeczuwałam, że ściany, łóżko z baldachimem, a szczególnie pozytywka mogą skrywać tajemnice.

Zobaczyłam znów Conrada, on spojrzał na mnie w ten dziwny sposób i poczułam, że potrzebuję chwili na złapanie oddechu. Zdjęłam z komody pluszowego misia polarnego i przytuliłam go mocno do piersi – miał na imię Sopol Junior, w skrócie Junior. Siadłam z Junio-rem na podwójnym łóżku. Serce biło mi tak głośno, że je słyszałam. Wszystko było takie samo, ale nie. Patrzyli na mnie, tak jakbym była prawdziwą dziewczyną, a nie czyjąś młodszą siostrą.



Sięgnij  
po więcej!



 Wydawnictwo Young

 wydawnictwoyoung

 wydawnictwoyoung

 Young